

Pisze się!

Agnieszka Szyk

PRAKTYKA
PISANIA



część pierwsza

Teksty napisane przez uczestniczki
pierwszej edycji kursu

PRAKTYKA PISANIA

Agnieszka Sprawka

Anna Jakubiec

Justyna Załucka

Anna Szafarz

K.K.

29 listopada – 22 maja 2024 r.

Wstęp

Pomysł na kurs *Praktyka pisania* powstał na samym początku tworzenia *Pisze się!* Agnieszka Szyk. Pragnęłam zaprosić grupę do wspólnej podróży, która nie prowadziła do żadnego celu, a byłaby otwarciem na irracjonalną potrzebę pisania. Chodziło o ty, by wejść w siebie, stworzyć rytm, mieć oparcie w innych osobach podążających tą samą ścieżką, oddać się twórczemu procesowi i zdać się na niewiadomą. Miałam przeczucie, że takie doświadczenie może być niezwykle ożywcze. Moje założenie się sprawdziło.

Przez pół roku spotykałyśmy się w gronie kobiet, aby rozmawiać i pisać o sprawach dla nas istotnych, a płomieniem, który rozpałał każde spotkanie było jedno słowo. Podsuwałam je uczestniczkom kursu, zapisując najpierw i nagrywając tekst oparty o własne odczucia. Później przysłuchiwałam się rozmowom na zaproponowany temat, zapraszałam do wspólnego pisania i czytania. Wiele razy towarzyszyły mi łzy wzruszenia, czasem wręcz niedowierzałam, że ktoś czyta w moich myślach, czasem historie jednej osoby zaczęły przenikać w teksty innej uczestniczki. Pół roku to czas, w którym wiele udało się dotknąć w sobie, ale też oswoić grupę i przestrzeń spotkań, żeby otworzyć się i pokazać w swojej autentyczności. Moim zdaniem dotarcie do tego punktu w sobie daje ogromną możliwość zmiany. Tak, miałam zaszczyt towarzyszyć niektórym uczestniczkom w ich życiowych transformacjach. A stało się to dzięki zaufaniu i otwarciu na siebie i na innych.

Niektóre kobiety zdecydowały się na publikację tekstów powstałych przez sześć miesięcy. Choć wypuszczenie w świat treści nie było warunkiem uczestnictwa w spotkaniach, zapewne stało się kolejnym krokiem do zostawiania przy sobie, stawiania się do swojego życia. Z przyjemnością dzielę się z Wami zredagowanymi przeze mnie niezwykle tekstami z różnych światów, które na sześć miesięcy stały się jednym. To wielorakie głosy wydobyte, wyśpiewane, wyplakane z wnętrza.

Nasze spotkania ułożyłam w dwanaście tematów. Poprosiłam, aby autorki same wybrały wątki i teksty, które z jakiegoś powodu wypuszczane są w świat. Tematy, które zostały wybrane, to: zmysły, dom, sąsiedzi, wieś, natura, miasto, woda. Tak też uporządkowałam nadesłane do mnie utwory.

W swoim podejściu do pisania zakładam, że czasem pisze się tylko dla siebie albo dla osób, które spotkały się podczas kursu w nieprzypadkowej konstelacji. Wielu tekstów nie przeczytacie w tej *Antologii*, ale uwierzcie mi na słowo, że warto było dla nich być, usłyszeć je i wziąć ich mądrość, moc dla siebie. Dziękuję Wam wszystkim za wspólną podróż, z której kolejny raz wychodzę dojrzała.

W trakcie kursu pisałam razem z uczestniczkami. Dzięki regularności i obecności piszących kobiet powstała książka *Praktyka pisania*, którą mam zamiar podzielić się z Wami w formie drukowanej jesienią tego roku. Byłyście moja wielką inspiracją i mobilizowałyście mnie do tworzenia. Dziękuję.

Z miłością –

Pisze się! Agnieszka Szyk

Spis treści

Zmysły.....	5
Dom.....	15
Sąsiedzi.....	19
Wieś.....	21
Natura.....	23
Miasto.....	29
Woda.....	31

ZMYSŁY

K.K.

Mam pięć lat i pierwszy raz jestem w operze. Otacza mnie ciemna łoża, wyłożona czerwonym aksamitem. Zapadam się w fotel. Przede mną jasność i zieloność sceny, a na niej białe baletnice. Muzyka Prokofiewa. Jestem oniemiała z zachwytu, bo czegoś tak pięknego nie widziałam i przez większość życia nie zobaczę.

Jak opowiedzieć o moich zmysłach? Jeśli zmysły to czucie, a czucie to przejaw mojego istnienia w świecie? Moje błogosławieństwo i przekleństwo?

Surowy burak z pomarańczowej miski w przedszkolu. Oddany ubikacji. Bajki muzyczne słuchane po sto razy, gdy leżałyśmy z siostrą na dywanie w popołudniowym słońcu. Białe gładkie rajstopki do kościoła. Nowe pachnące sandały. Miękką i ciepłą babcia. Przerażający zapach strychu. Smak owoców morwy - słodki, mdły. Nieskończona ilość smaków, obrazów i zapachów Iraku. Twarde pustynie, suche ruiny, palmy daktylowe. Zdarta skóra na brzuchu. Strupy na kolanach. Złe oczy obcych. Szarość polskiego osiedla, dziury w chodnikach, wiatr między blokami. Śmierzące windy. Hałas i tłok szkolnych korytarzy. Zapach szatni, zapach dorastających kolegów i koleżanek. Futerko chomika w dłoni. Za głośna muzyka na dyskotekach. Różowe półkozaczki. Masumi podkradane mamie. Perfumy pierwszego chłopaka, od Guerlain, trochę za luksusowe. Woń książek z jego pokoju. Dotyk naszych dłoni i brak oddechu, kiedy jeszcze nic się nie stało. Niekończący się festiwal zmysłów, gdy robiliśmy to bez przerwy, a młode ciała uczyły się i bawiły, szczupłe, gotowe, otwarte. Nie potrzeba było świec, kwiatów ani wina. Było łatwo. Spojrzenie w oczy i szept koło ucha wystarczały...

A potem opuściłam siebie na lata. Nie wiedziałam, która piosenka mi się podoba, co lubię jeść, jakie kolory nosić, jak być dotykana. Chciałam pasować, być tym, kim oczekiwano, że będę. Być produktywna. Być dorosła. Nie czuć, nie widzieć. Tak miało być prościej. Nic nie wiedziałam. Jak mogłam to sobie zrobić? Jak mogłam porzucić się, unieważnić, odciąć? Bo to niepoważne, dziecięce, zbędne?

Szczęśliwie pewnego dnia zakiełkowało we mnie nowe życie, odblokowało dostęp do własnego ciała i czucia. Znowu wiedziałam, kiedy chce spać, kiedy zjeść, jaki zapach mi służy, a jaki irytuje. Dziecko. Portal do własnej głęboko zakopanej tożsamości i do świata widzianego już całkiem inaczej. Mały żywy Przewodnik po czułości. Pachnąca główka, przyssane do piersi usteczka. Drobnie ciało wtulone w moje. Chciałam patrzeć, wąchać, dotykać, słuchać. Odkrywać. Przyjmować. Robię to nadal, choć dzieci są dorosłe.

Tak, ona tak ma, a ja mam tak. Ja mam inaczej. Warstwa po warstwie. Nie chcę chłodnego światła. Zatłoczonej restauracji. Zbyt głośnych rozmów. Nachalnych perfum. Brzydkich wnętrz. Głośnych reklam. Drapiących swetrów. Tandetnej muzyki w taksówce. Niewygodnego materaca. Niechcianych buziaków. Klikania myszką. Rysowania hal przemysłowych. Obrażonych pracowników. Zimnej wody. Złej sztuki. Byle jakiego jedzenia.

Długą, krętą, niełatwą drogą wciąż się przewracając i wstając, gubiąc i znajdując, poobijana i zaryczana, zmierzałam do siebie. Tej, która czuje, dotyka, smakuje, oddycha, widzi. Której nie jest wszystko jedno. Nie mam już pięciu lat, mam blisko 50, a nadal wzruszam się na widok tańczącej baletnicy. 27 razy oglądałam ten sam nieambitny film, najlepiej z córeczką obok. Zapadając się w ten czas, jak w kółdrę. Słucham w kółko tej samej piosenki i płaczę w samochodzie. Dostaję gęsiej skórki, kiedy w piekarniku wyrasta mój chleb, jęcząc zajądając pierwszą ciepłą jeszcze kromkę z masłem. Już wieczorem myślę o porannej kawie

z kardamonem. Pracuję dotykiem, zatapiam palce w tkanki, szukam mięśni, wygładzam powięzi. Zamiast komputera używam pachnących olejków i światła świecy. Wsłuchuję się w ciszę lasu, w bezruchu obserwuję leśne myszy, wdycham zapach ziemi. Mam motyle w brzuchu na widok niezmażonej wody w basenie, w którym zaraz popływam. I wtedy, gdy gram na perkusji, a w moich komórkach coś tętni. Jakby moje życie?

Mimo tego tak często jeszcze tęsknię za tym zduszonym szeptem, za ciężkim oddechem, za zaślinionym palcem ślizgającym się po nadgarstku, za pocałunkami na karku, za milczącym gapieniem się w oczy, za słodkim zapachem bliskości...

Justyna Załucka

Dzieciństwo

Pamiętam stary dziecięcy stołek. Siedziałam na nim jako czterolatka (?) przy otwartym balkonie. Był już całkiem obdrapany i pewnie służył wcześniej mojemu rodzeństwu. A taki był piękny! Przypominam sobie wielkie, ręcznie malowane grafiki wtopione w drewno i to, jak na mnie „zerkały”. Przyglądały się małej dziewczynce ciekawej świata.

Czasami wieczorami przywołuję jeszcze zapach kremu Nivea, którym usta, tuż przed snem, smarowała mi mama. Zawsze bowiem miałam spierzchnięte wargi, a kosmetyk w niebieskim opakowaniu był wtedy remedium na wszystko. Teraz zamieniam go na pomadki „dla dorosłych”, choć chyba całkiem dorosnąć nie chcę.

Latem, kiedy miałam sześć lat, spędziłam kilka miesięcy na wsi. U babci było wszystko. Choć zagarniała swoim temperamentem dużo przestrzeni, to równocześnie dawała mi wolność. Do dziś żałuję, że nie wydoiłam babcinych krów. Nie odstraszał mnie nawet zapach obory. Przyjmowałam go bardzo naturalnie i ze spokojem. Pewnego dnia dotknęłam małego cielątka. Pamiętam jego wilgotny nosek i miękką sierść. Nie przeraziłam się. Chciałam więcej.

Babcia rano i wieczorem doiła mleko, przynosząc je w wielkich metalowych wiadrach. Kto wówczas myślał o bakteriach i innych wirusach? Piłam więc ten biały napój prosto od krowy. Miał jeszcze piankę i choć jego zapach nie do końca mi odpowiadał, to przechylałam szklanekę i wypijałam mleko aż do dna. Kiedyś nawet zapytałam babci, czy jeśli krowa zje cebulę, to jej pokarm będzie pachniał, jak to warzywo. Potwierdziła. Do dziś nie wiem, czy to była prawda, ale bardzo spodobała mi się ta odpowiedź.

Nastoletniość

Okres nastoletniości bywa burzliwy, więc dobrze, że przechodzi się to tylko raz. I choć byłam zaprzeczeniem zbuntowanej nastolatki, czasami chciałabym TAM wrócić. Nastąpił wtedy dwudziesty pierwszy wiek - ważny moment przejścia, a ja zawsze postrzegałam siebie jako dziecko, które zdążyło „liznąć” lat 90-tych. Poznałam więc kasety - dźwiękową przepustkę do przeszłości. I tak pierwszy raz usłyszałam moją mamę, jakiej nie znałam. Na jednej z kaset, jako dwudziestolatka, śpiewała ze swoją siostrą. Nie było dla mnie istotne, co to było, ale interesowała mnie ich ówczesna energia. W radosnym śpiewie dało się wyczuć radość, afirmację życia i uroczą bez troskę. Później sama zaczęłam nagrywać piosenki, które leciały w radiu. Pamiętam atmosferę wyczekiwania i dbania o ciszę w trakcie i to przejście, czy moja ulubiona piosenka po nagraniu będzie brzmiała jak oryginał. Później spisywałam słowa utrwalonych songów do zeszytów. I wtedy pokochałam czynność pisania. Przykładanie długopisu do kartki sprawiało mi bowiem przyjemność. Mogłam „skrobać” tak przez wieki, przyglądając się głębi zapisanych zdań czy wyrazów.

Do teraz czuję zapach i pamiętam kolory szminek starszej siostry, które były modne na początku dwudziestego pierwszego wieku. Królował wtedy perłowy połysk, jak gdyby ciągle trwał karnawał. Na sylwestra używałyśmy też wspólnie siostrzanego brokatu w kulce, świecąc się jak dyskotekowe kulce. A brokat na włosach to było coś! Błyszczał bowiem intensywnie, nie gryząc tym samym w oczy. Moja mama obsypywała nim więc swoje kosmyki, a ja skrycie ją podziwiałam.

Wczesne lata 2000 - wtedy wszystko wydawało się być fajniejsze. Styl, moda, ograniczona ilość bodźców, a komputer nie był jeszcze w każdym domu. Ja dostałam go bardzo późno i nie żałuję. Komórkę otrzymałam zaś w szóstej klasie podstawówki. Pamiętam tę kolorową

obudowę legendarnej „cegły” - Nokii 3310. To było coś! Lubiłam te mono dzwonki i raczyłam nimi całą rodzinę. Pewnie mieli mnie wtedy dosyć!

Dorosłość

Bieg, codzienny wyścig sznurów, a ja nie mam siły prawdziwie się sobie przyjrzeć. Już nie wiem, jaki kolor lubię, a jaki owoc smakuje mi najbardziej. Mleko nalewam prosto z kartonu, bo już nie prosto z babcinego wiaderka. I oszukuję sama siebie. Oddalona od moich zmysłów, nie jestem sobą. A ONI wokół mnie żyją z dnia na dzień, mechanicznie. Nie czują, bo mają wiecznie zatkałe zatoki, nie dotykają, bo dotyk ich parzy, nie smakują, bo nie są ciekawi nowych smaków, nie słuchają siebie i innych, bo tak prościej i nie widzą tego, co jest wokół nich, a jeśli już patrzą, to bardzo powierzchownie. Nie zadają pytań. Dostosowują się, bo tak łatwiej. Łatwiej wtopić się w tłum i po prostu nie czuć.

Buntuję się. Uparcie walczę o skrawek (s)pokoju dla siebie, gdzie wszystkie zmysły nabierają intensywności. W mojej przestrzeni pozwalam sobie czuć i mieć intuicję. To mój osobisty drogowskaz i ochrona przed niebezpieczeństwami tego świata.

Teraz

Dziś czuję się na maksa przebodźcowana. Czasami tracę podstawowe zmysły na rzecz ich przedłużenia. Tylko po co zastępować coś, co jest dobre i nas prowadzi?

Nie patrzymy sobie w oczy, bo mamy Messenger.

W pandemii straciliśmy czyjś dotyk, bo to niebezpieczne.

Nie chce nam się myśleć, bo „lepiej” zrobi to sztuczna inteligencja.

Nie słuchamy uważnie innych, bo to wymaga wysiłku, a nie mamy na to czasu.

Mleko nie smakuje już tak jak u babci, lecz jedynie przypomina je kolorem.

A ja pracuję dziś nad tym, by powrócić do dzieciństwa i chłonać. Łapczywie chłonać rzeczywistość bez końca.

Anna Szafarz

Wczesne lato

Już z nastaniem maja zostawałam wywożona do dziadków na wieś.

Ach, ta wieś tak bardzo różna od kamienistego, zwanego kocimi łbami, podwórka kamienicy, w której mieszkałam z babcią i rodzicami.

Jako że byłam wątła, chorowita, więc ludzono się, że wiejskie powietrze wyleczy moje oskrzela i płuca, a wystarczyło, żeby rodzice zaniechali palenia papierosów w mieszkaniu, no cóż...

Więc lato...

Uwielbiałam biegać bosą po podwórku, choć często stopy pięciolatki wpadały w kurzą kupę. Dziwne uczucie, kiedy wpadasz zniecka w maź, czasem jeszcze ciepłą, kiedy czujesz, jak przesuwa się między palcami dziwnie gęsta i lepka, omija jeden, drugi, trzeci palec stopy.

Obserwowałam stopy i byłam ciekawa, czy przylepią się do tej kupy już na zawsze. Czułam, jak po pewnym czasie stygnąca maź zamienia się w twarde grudki, które to nie chciały samoistnie odpadać.

Potem biegłam pod studnię, by umyć ukupione stopy, brałam konewkę i polewałam wodą ugrzaną na słońcu. Woda była i ciepła i chłodna, przyprawiała mnie o dreszcze, uwielbiałam polewać się nią, a potem tworzyło się bajoro, w którym taplały się kaczki no i ja razem z nimi. Moja ciekawość poznawania lepkości mazi sprawiała, że eksperymentowałam dość często.

Późne lato

Południe, pora obiadu, mężczyźni wrócili z pól, zwierzęta hałasują, dając do zrozumienia, że i ich brzuchy są puste. Niesamowity rwetes, wszyscy i wszystko, co stworzone, jednocześnie wydaje dźwięki.

Ludzie, kury, kaczki, świnki z prosiętami, konie, krowy, psy, koty, cielaki płaczące za swoimi mamami. Ależ to dziwna orkiestra gra na wszystkich mi nieznanach nutach.

Kobiety krzątają się w pośpiechu, by wszystkich nakarmić, spragnionych napoić, a kiedy otrzymają swój wyczekany, wywrzeszczany, wyszczekany, wymiauczany posiłek, nastaje poobiedni czas relaksu - wypoczynek.

Odpoczywają wszyscy.

Moja najbardziej ulubiona pora dnia.

Cisza.

Leżę w cieniu, słucham ciszy, tej wyjątkowej, kiedy nikogo i niczego nie słyhać.

Jakby nikogo i niczego wokół nie było, jakby wszyscy zniknęli albo ich nigdy nie było.

Wdycham zapach traw i kwiatów z łąki, zamykam oczy i czekam, czekam z utęsknieniem na dźwięk kołyszących się i objających o siebie na lekkim wietrze kłosów żyta. Dźwięk kładzie się na ziemi i snuje niczym poranna mgła między źdźbłami traw, między kwiatami kaczęńców i stokrotek.

Mrużę oczy, spoglądam na słońce prześwitujące między liśćmi gruszy.

Słyszę, jak się do mnie zbliża i uśmiecham się, chłonę całą sobą ten dźwięk, czuję, jak wchodzi w każdą cząstkę mnie, jak drży moje dziecięce ciało tym dźwiękiem niesionym przez wiatr i ziemię, na której leżę i patrzę w niebo... Jestem tylko ja i ten rezonujący we mnie dźwięk, ten zapach, który chłonę najmocniej, jak tylko mogę. Nosem i otwartymi szeroko ustami.

Łykam, by mieć zapasy, które starczą do jutra,

bo jutro znów przybiegnę pod gruszę do ciszy,

a potem, kiedy mężczyźni zetną kosami ostatni kłos żyta, ja jestem wypełniona zapachem i dźwiękami lata. I to właśnie wtedy, wraz z nastaniem wczesnej jesieni, wracam do miasta, do wybrukowanego szarego podwórka. Ale kiedy nastają długie wieczory, pod fajerkami huczy

wesoło ogień, a ciepło wypełnia każdy kąt kuchni. Otulona kocem zamykam oczy i sięgam do zasobów ciszy letniego południa.

Znów leżę pod gruszą i słyszę dźwięki ocierających się o siebie kłosów i czuję zapach pól i łąk, a ja uśmiecham się, bo słyszę i czuję lato.

Jesienią

Jesienią, jesienią sady się rumienia,

a w leśnym runie lśnią w porannej rosie grzybów kolorowe kapelusze.

Czasem siadam na ławce pod młodziutkim dębem, by posłuchać szeptu jego liści, głosu jego gałęzi.

Gada do mnie, a ja go słucham, opowiada o wietrze, o promieniach słońca i blasku księżyca.

O tym, że niedługo będzie taki żółty.

Przytulam się do grubego konara dębu i chłonę całą sobą zapach i moc drzewa. Potem kręci mi się w głowie.

Czasem, kiedy tak jestem cała w tej rozmowie, słyszę : pamiętaj o mnie...

Więc znów biegnę do drzewa, bosą nogą dotykając źdźbeł lekko suchych traw i mokrych mchów - aż mam dreszcze od tych dotyków, by popatrzeć na niezwykłą żółć jesiennych liści.

Zimą

Czy słyszeliście kiedykolwiek dźwięk spadających płatków śniegu?

Czy słyszeliście, jak w tęgi mróz odgłos jadących samochodów niesie się kilometrami?

Nie znam głębszej ciszy od ciszy, kiedy pada śnieg - za każdym razem, kiedy zjawisko to pojawia się, to mnie zapiera oddech. Moje płuca boja się oddychać, by nie zakłócić ciszy.

Boję się poruszyć, więc stoję jak zaczarowana.

Czasem wchodzę w tę ciszę, otwieram usta i staram się złapać językiem płatek śniegu. Jest, ale zanim dotknie mego języka, zamienia się w wodę, ogrzany ciepłem mego oddechu.

Wiosną

Wiosna tego roku będzie inna niż dotychczas.

Choć jeszcze zima rozpościera swoje białe szaty,

to ja czuję całą sobą, że z nastaniem wiosny już nic nie będzie takie samo.

Odbieram sygnały płynące z mego serca, z moich myśli, z mego ciała.

Obserwuję rytm każdego dnia i każdej nocy i wiem, że zmiana nie tyle nastąpi, co już trwa, tylko ja nie chciałam przyjąć jej do wiadomości.

Wiedziałam od dawna i czułam, że idzie nowe, czekałam na nie i choć czasem, kiedy o tym myślałam, serce biło jak oszalałe, to i tak całą sobą szłam w tym kierunku,

w kierunku, który wskazuje mi serce.

Dziś jestem gotowa.

Choć czasem płaczę cichutko, cała drżąc.

Otulona ciepłem mego serca, z miłością mówię do siebie: Już czas , już czas....

Anna Jakubiec

- Hej, śpisz?

- Nie, nie śpię. A co?

- Chciałam pogadać... O naszych zmysłach.

- A coś z nimi nie tak? Widzę, słyszę, czuję... i odczuwam. Chociaż... Ostatnio zrobili mi badanie oczu i odkryli, że kawałek mojego nerwu wzrokowego jest uszkodzony i jest jakiś obszar, na razie niewielki, w którym nie widzę.

- To w końcu widzisz, czy nie widzisz?

- Mam oczy to widzę. Ktoś kiedyś powiedział, że urzekły go te oczęta. Liczył złociste kropki na ich zieloności. Chyba jednak wzrok mi się psuje, bo kolejne okulary na krótko dają radę. Jak latam, muszę mieć i te do bliży i do dali. Progresywne są najlepsze. Ale czasami i tak widzę gorzej. Jak jest ostre słońce albo kończy się dzień i jest taki półmrok, przed zachodem słońca. Wgapiam się wtedy w przestrzeń przede mną, aż do bólu. Potem przenoszę wzrok na zegary przede mną. One mnie chronią, bo jak wskazówka jest na czerwonym polu, to źle coś trzeba zrobić. A jak nurkowałam, to musieli mi wymienić szkła w masce, na takie z korekcją, żeby lepiej widziałam. Pod wodą widać inaczej. Jak jest przejrzysta, to widać dosyć dobrze, ale jak jest mętna, to musisz polegać na innym zmysle. Kiedyś w jeziorze machnęłam sobie płetwą i cały muł z dna się podniósł, to widziałam wtedy jakby kawę z mlekiem przed sobą, zupełnie nieprzezroczystą. Dobrze, że obok były poręczówki, czyli linki, które biegną od brzegu w różne miejsca jeziora. Trzymałam się wtedy tej linki, bo inaczej bym się zgubiła i mogłoby mi zabraknąć powietrza. A wtedy to wiesz co... Zamieniłam zmysł wzroku na zmysł dotyku.

- No dobra. Ale co to znaczy, wiedzieć?

- A co? Mam ci zrobić wykład z anatomii oka? No, miałam taki przedmiot „Człowiek - możliwości i ograniczenia”, jak robiłam kurs do licencji i tam było o tym oku, ale tak z głowy to nie pamiętam. Mogę jutro zajrzeć do notatek.

- Nie o to mi chodzi. Może źle zapytałam. Chciałam wiedzieć, czy nasze zmysły są nam do czegoś potrzebne. Taki wzrok czy słuch i te inne. Podobno opisali ich już dwanaście, w tym pięć podstawowych.

- E, nie wkręcaj mnie. Pewnie, że są potrzebne. Dzięki nim odbieramy bodźce zewnętrzne. Poznajemy otaczający nas świat. Ostrzegają nas przed niebezpieczeństwem, jak ten kolor w zegarach, w samolocie. To, co widzimy za pomocą wzroku, odbieramy słuchem, doświadczamy za pomocą dotyku, czujemy smakiem i powonieniem, pobudza naszą wyobraźnię. Mogę odczuwać przyjemność, radość, ale i strach, złość czy wręcz nienawiść, bo moje zmysły pokazały mi coś, co w taki sposób mi się skojarzyło.

Wiesz, jak jestem w powietrzu, widzę chmury i błękitne niebo i kolorowe płaskie figury pól i aksamit lasów. Chmury zawsze kojarzą mi się z bitą śmietaną, a ziemia z materiałem o różnej strukturze. Jak mięsisty aksamit albo gładki atlas - tak wyglądają lasy na górach, jak się na nie patrzy z samolotu. Albo zachód słońca. Wiesz, jak zachodzi słońce nad górami, kiedy patrzysz na nie z pewnej wysokości? Tak jakby szalony malarz rozlał kilka farb: czerwienie, żółcie i fiolety. A po tym obrazie puścił taką żółtą piłeczkę, która się toczy, ale nie rozmazuje tego szaleństwa. Ja wtedy czuję taką radość, że mogę to wszystko zobaczyć. Czasami czuję strach, bo wyobraźnia podpowiada mi takie scenariusze, że nawet nie chcesz wiedzieć. Kiedyś miałam okazję nurkować w morzu. Płynęliśmy między pionowymi skałami. Było ciemno, dziesięć metrów wody nad głową, a pod nami taka zielona głębia, której końca nie było widać. Wiesz,

jak ja się wtedy bałam. Dobrze, że mojego instruktora miałam obok, to w końcu mu pokazałam, że chcę na powierzchnię.

- A w miłości też bazuje się na zmysłach?

- A co, nie wiesz? Przede wszystkim. Jedni - wzrokowcy reagują na to, co widzą, słuchowcy na dźwięki, a kinestetycy na dotyk. W literaturze, w filmie wykorzystuje się kolor czerwony, jako skojarzenie z gorącym uczuciem. Czerwone róże, czerwona bielizna, czerwone opakowania na prezenty w Walentynki. Muzyka musi być wolna, dźwięki łagodne, mówi się romantyczne. Dotyczy to również głosu o niskiej, jakby aksamitnej barwie. Pamiętasz motyw przewodni filmu „Love story”.

- A dotyk, czy smak też są ważnymi zmysłami?

- Pewnie. Kiedy dotykam czyjejś skóry, czuję pulsujące życie. Mam wtedy wielką przyjemność, radość z tego, że ktoś oddał się w moje ręce. Skończyłam kiedyś kurs biomasażu. Dotykaliśmy naszych skór, masując poszczególne części ciała. Skóra jest taka przyjemna w dotyku. Znowu kojarzy mi się z jedwabiem. Jest chłodna, ale czuje się, że pod nią przebiegają tysiące arterii, które ją odżywiają. Jest miękka i tej miękkości nie da się z niczym porównać.

A co do smaku to w kuchniach wykorzystuje się afrodyzjaki: ostrygi, czekoladę, brzoskwinie, miód, szparagi. Romantyczne posiłki nie mogą się bez nich obyć. Ja tam się czuję szczęśliwa i przy zjedzeniu czekolady i po spotkaniu miłych, serdecznych ludzi. Mój poziom zadowolenia, mierzony poziomem endorfin, wyraźnie rośnie. Czyli obojętnie, który mój zmysł zadziała, ja czuję coś, co podpowiada mi wyobraźnia. A chyba u mnie jest z nią całkiem dobrze. Jak widzisz, nasze zmysły są takimi urządzeniami, bez których nie możemy się obejść. Co ja gadam? Przecież ty nie możesz widzieć. A może jednak możesz?

- Widzę twoimi oczami, słucham twoimi uszami, czuję twoim dotykiem, poznaję świat twoim smakiem i zapachem. - A chciałabyś mnie czasami widzieć?

- Nie gadaj głupot. Gdybym cię widziała, to miałabym zwidy. A jeszcze nie zwariowałam. Chociaż to pewnie stan na dzisiaj, jutro może być inaczej. Jak mówią, nie ma ludzi normalnych, a są tylko niezdiagnozowani. Coś w tym jest. Chyba nie jest ze mną tak źle. Widzę, słyszę, czuję. Kocham i nienawidzę. No może z tą nienawiścią to przesadziłam.

Ale wiesz co? Idź już sobie. Kleją mi się powieki i spać mi się chce.

Dobranoc, ty moje drugie ja.

Agnieszka Sprawka

Całymi zmysłami jestem. Bólem gardła od krzyku, od wycia. Tak mocno, aż doprowadzone do wrzenia emocje wyparowują ze mnie jak ładunek. Wycie jest bólem, jest pchaniem ciała jak najdalej. Mój krzyk boli moje uszy, tępy ból, który sprawia, że na chwilę nie słyszę zupełnie nic. Przystaję krzyczeć, wibruje wokół mnie cisza. To mnie naprawdę uspokaja, jakby cały świat się zatrzymał. Z gniewu wyrzucona w przestrzeń pustka, wypchnięta z mojego ciała. Nigdy nie urodzę niczego oprócz tego gniewu. Leżę na podłodze, twarzą do ziemi, zaciskam powieki, żeby nic nie widzieć. Rękami uderzam jeszcze, żeby wytrząsnąć jakikolwiek pogłos.

Śpię ze swoim oprawcą. Polem magnetycznym polaryzującym moją krew. Nicość otaczająca mnie jak szklana kula. Moje ciało zlane zimną wodą budzi się do życia, impuls i vitalność wlane przez ten dotyk. Woda, z której składam się w tak wielu procentach. Budzę się w środku nocy pod szorstkim, grubym, wełnianym kocem. Jestem oblepiona potem.

Jest mi smutno, muszę leżeć, bo złamana kość boli, a niestety, upadłam na plecy. A właściwie na schody, chwila nieuwagi i brak kontaktu na linii stopa - schodek. Skończył mi się grunt, musiałam złamać zupełnie nie oddziałującą na nic część dwóch lędźwiowych kręgow, wyrostków bocznych kręgosłupa. Moje przytępione zmysły w symfonii z ciałem umówiły się, żeby dać mi zwolnić tempo.

Za każdym razem, kiedy losuję kartę tarota na ten dzień, staram się przywołać w ciele przyjemne wspomnienie. Tak, bym czuła się jak wtedy, kiedy coś mnie cieszy lub zachwyca. I ostatnio za każdym razem przywołuję to uczucie, kiedy mój kot kładzie się koło mnie, a jego najmiłsza, najdelikatniejsza sierść, daje mi ciepło i spokój. Nic się z tym ostatnio dla mnie nie równa, niezawodne magiczne zaklęcie rozlewające wokół stan błogości. Tylko wtedy moje myśli przestają biec.

A teraz wyszłam na balkon. Przez nieuwagę nie zauważyłam, że pogoda zmieniła się diametralnie. Ogromny szum siły wiatru uderzał mnie w twarz, śnieg jak spadające gwiazdy, znów nie widziałam nic, zimne mokre płatki topniały w kontakcie z moją twarzą. Może tylko mi się wydawało, ale słyszałam syknięcie za każdym razem, kiedy przestawały istnieć. Świat w izolacji z grubej powłoki białego puchu pokrył się ciszą i spokojem.

Stoję na zimnie, powietrze mrozi a jednocześnie rusza rzekę mojej krwi i wciąga ją w najintensywniejszą pracę. Jestem jak dzikie zwierzę, które w bezmiarze opcji zdecydować się musi, za którym ze zmysłów pójdzie. I wybieram ten, który najlepiej pracuje z moją pamięcią. To zapach.

Zaczęła pachnieć inaczej.



DOM

K.K.

Próbuję coś napisać, ale wszystko wydaje się takie trywialne. Pozbawione treści i sensu. Choć temat budzi tak wiele skojarzeń przeróżnych. Od tych czysto architektonicznych po te psychoanalityczne. Mętlik w głowie i w słowach. Pytam nawet bliskie osoby o ich skojarzenia „o moim domu”, niczego nie ułatwiają.

Czy dom to bardziej to, co mnie otacza? Te aktualne ściany, przedmioty, widok za oknem? Czy moja przeszłość i korzenie? Czy to, co mam w sobie, czego wciąż szukam, uczę się, rozpoznaję, zgłębiam? To, co usiłuję poukładać, rozsypać, by było po dorostem, tak jak należy, tak jak przystoi w moim wieku? To, co wciąż nie takie, nie dość stałe, nie dość stabilne, by się w sobie na tym oprzeć, a tak bardzo marzę, by w końcu, kiedyś (kiedy?!) poczuć DOM w sobie. Swój solidny fundament, szkielet, konstrukcję, która trzyma, a kiedy trzyma solidnie, elewacja i drzwi frontowe nie mają takiego znaczenia. Starzeją się, zmieniają, ale przecież dom stoi mimo zawieruchy, upływu lat, i stanowi schronienie, bezpieczne, pewne.

Domu w sensie budynku, który zbudowałam lub ktoś zbudował dla mnie, nigdy nie miałam i nie mam. Nie mieli go moi rodzice ani dziadkowie, ani pradiadkowie. Byli miastowi, zajmowali mieszkania, lepsze lub gorsze, raczej nie salony z wysokimi sufitami i służbą. Nawet o nim nie marzyłam, bo nie znałam, nikt mi nie pokazał, że to jest jakaś wartość. Raczej kłopot. Bo ogrzać ciężko... bo okradną...i tym podobne...

Dom, jaki miałam, to ciasne mieszkanie, które jak ta rękawica ze starej rosyjskiej bajki, z czasem zatłoczyło nowe rodzeństwo. Przez to może częściej wzbudzał fantazje o jego opuszczeniu. Mieć swój ką, lepszy jakiś, ładniejszy, na swoich zasadach. Z jakichś powodów szybko nie czułam się tam u siebie. A kiedy się wyprowadziłam, nigdy nie było już poczucia „powrotu do domu”, były tylko odwiedziny u rodziców. Ślady mojej bytności błyskawicznie zostały zatarte, miejsce było potrzebne dla nowych domowników. Moje rzeczy oddane mi w pudłach.

Z tamtego domu dziwnym zbiegiem okoliczności wiecznie wszyscy gdzieś wyjeżdżali i robią to nadal. Daleko i na długo. Na stałe, na zawsze. Jest miejscem przenocowania, odwiedzenia, spotkania. Mnie dzieli od niego fizycznie pięć kilometrów, innych mieszkańców morza i oceany.

Nie wiem dlaczego, nie umiałam przez całe długie lata poczuć, że mój nowy dom, miejsce, gdzie żyję z moim mężem i gdzie wychowuję dziećmi, to moja przystań, moje miejsce, że ja je tworzę, mam na nie wpływ. Uciekałam od tego. Byłam tu i nie byłam. Oddawałam odpowiedzialność. Było mi trudno, kiedy wracałam z wakacji. Już w podróży czułam ścisk w środku. Być dalej było łatwiej. W neutralnym hotelu wszystko wydawało się prostsze. W domu było realne życie, codzienna ja. A jej nie lubiłam. A realności się bałam. Często rozczarowywała. Często wydawało się, że chcę wyjść po cichu i nie wrócić.

Wracałam.

A więc ten dom, choć spełniał wiele pragnień, choć był piękną przestrzenią, był też miejscem bałaganu i wstydu, zakamarków, z którymi nie umiałam sobie poradzić. Niektóre pozostały do dziś. Wiele się zmieniło. Pod łóżkiem już porządek... I największy sukces: własny pokój z własną łazienką.

Pokoje, jedno duże, inne mniejsze, jedno drzwi, kolejne, za nimi znowu jakiś pokój, jakieś przejście, korytarz, kolejne drzwi, znowu pokój, drzwi, schodki, jakieś garderoby, znowu drzwi,

jakieś piętro... jasno, wysokie sufity, dość ładnie, przestronnie... Taki sen mi się często pojawia. Sen o domu? A może zupełnie o czymś innym? Ile drzwi jeszcze do otworzenia przede mną? Ile pokoi do obejrzenia, do oswojenia, do uznania za swoje albo nie?

Czy to miejsce, gdzie teraz siedzę, to mój dom? Miejsce bezpiecznych powrotów, spokojnego snu, ciszy, stołu, kuchni? Czy to moje miejsce docelowe? Czy mogę już się tu zatrzymać w poczuciu, że nie muszę, nie chcę, że wybrałam, że owszem, nie jest idealne, choć wielu takim się może wydawać, ale że to jest tu i nigdzie indziej. Że nie musi być lepiej, że jest wystarczająco. Że tak, ja też jestem współtwórczynią tego, co tu było i jest. I ja za to odpowiadam. A jak chcę inaczej, to mogę to zmienić albo o tym chociaż powiedzieć. Albo tak zostawić. Nie uciekać, nie wyjeżdżać, nie zamykać się, nie zasłaniać. Zostać. Współtworzyć. Porządkować. Oczyszczać ze śmieci nawarstwionych przez lata. W te miejsca wnieść coś nowego, ładnego. Zostawić miejsce dla córek, by chciały i mogły tu wracać, do siebie, do domu, do bazy. Miejsce dla nowej istoty, która za chwilę będzie tu biegać, a wszystko to będzie dla niej już tylko historią, bo będzie to dom dziadków, ogród dziadków, otchłanie wspomnień do zbudowania. Podłogi, po których biegała niedawno jej mała mamusia, a zaraz jej małe nóżki pobiegną.

To mgnienie oka.

Historia, jaka wśród tych ścian się toczyła, a równolegle we mnie, w każdym z nas, domowników. Nasze wzrastanie, dojrzewanie. Ściany są grube, dobrze zaizolowane. Podłogi dębowe, a więc wieczne. Wystarczy dbać. Zielen za oknem zielona cały rok, odgradza od szarości i brzydoty. Cisza. Śpiew ptaków w lecie.

Mało miejsc w zasięgu możliwości mogących się równać. Nie wszystko już możliwe. Byłyby inne, może pozornie atrakcyjne, bo nowe, może więcej zachodniego słońca, może trawnik równiejszy. Ale czy równie bezpieczne? Stabilne? Solidne? Czy warto to sprawdzać? Czy zgodzić się na to, co jest? Umościć w tym. Dostrzec zalety.

W moim domu.

Anna Szafarz
Dom, Mój Dom

jak opisać COŚ co się nosi zawsze przy sobie
Mój Dom jest ze mną, we mnie
nieważne gdzie jestem i z kim jestem
Mój Dom jest moim azylem
moją ucieczką przed światem
moją rajską wyspą
a kiedy wiruje świat nieskończoną liczbą zdarzeń
„kupuję” bilet i lecę
w szum morza, ptaków śpiew, zieleń drzew
siadam i chłonę to, co najpiękniejsze
rozkoszuje się kolorami i dźwiękami Mego Domu
zapatrzona w jego piękno...
choć nie zawsze tak było,
bywało, że widziałam ruiny mego domu
widziałam i zgliszcza mego domu
szarego, bezdusznego, smutnego
zalana łzami rozpaczy, otulałam Mój Dom promieniami słońca
przytulałam do serca cicho nucąc piosenkę tylko Nam znaną
Domu i Mnie. by potem poczuć maleńki płomyk, płomyk nadziei, wiary i pewności
że już nic nie jest w stanie go ugasić, żadna wichura, żaden huragan, żaden cyklon, nic i nikt
bo w kołysce mego serca, utulony matczyną miłością rozbłysnął potężny płomień,
ogrzewa swoim ciepłem cały Dom, rozświetla każdy jego zakamarek
Mój Dom jego ciepło, jego jasność jego dźwięki są zawsze ze mną
Mój Dom

*Dom jest w Nas, to My wypełniamy go kolorami, dźwiękami to Nasz Dom emanuje na tych,
którzy są blisko Nas, by potem jak fala, która powstaje po wrzuceniu kamyczka do wody,
rozprzestrzenia się coraz dalej i dalej, docierając aż na kraj świata,
zajrzyj do Swego Domu, posłuchaj muzyki. która tam rozbrzmiewa, ogrzej się w jego
płomieniu i posłuchaj dźwięków domu, Twojego Domu*

SĄSIEDZI

Justyna Załucka

Blok (nie)zwykłych ludzi

W moim bloku sąsiedzi zawsze mówili sobie: „Dzień dobry!” i „Dobry wieczór”. Choć jako rodzina z parteru nie przekraczaliśmy nigdy niektórych drzwi, to każdy pokrótce wiedział, co się u kogo dzieje.

Najbliżej było nam do sąsiada z naprzeciwka, który w pewnym momencie dosłownie sięgnął dna. Ach ten wszędobylski alkohol. Rozbija rodziny i łamie ludzką godność. Dobrze wiedział o tym pan K., który za każdą „chwilę słabości” nie był wpuszczany do domu przez żonę. Obserwowaliśmy więc przez wizjer, jak spał na wycieraczce, wiecznie pukając do drzwi. Niekiedy schodził piętro niżej, koczując na korytarzu prowadzącym do piwnic mieszkańców. Zapadał tam w sen na wspomnianym już dywaniku do wycierania brudnych butów. Wtedy „brudny” stawał się on, a zimna podłoga bywała jego drugim łóżkiem.

Piętro wyżej żyli dość sędziwi sąsiedzi. Ona nad wyraz religijna. On lubił zaglądać do kieliszka. Czasami wstępował do nas po przysłowiowe pięćdziesiąt groszy, oferując w zamian produkty ze swojej spiżarni. Brakowało mu bowiem na piwo. Dla niego był to dzień jak co dzień. Syn pana P. był zaś legendą miejscowych wykołajeńców. Pewnego dnia, jadąc na motorze, przeżył wypadek. Nie było to byle jakie wydarzenie, bo w wyniku tego incydentu skrócono mu nogę. To tylko jeden z jego większych występków.

Na drugim piętrze wciąż mieszka seniorka naszego bloku zwana Zośką. Nikt tak jak ona nie zna faktów i plotek z pierwszej i drugiej klatki budynku. Ba! Zna pewnie lepiej życie innych niż oni swoje! Od lat wydaje się być taka sama. Zawsze wszystko wie najlepiej, a każdego dnia poświęca swoje życie Bogu, regularnie wychodząc na mszę świętą dokładnie o osiemnastej. Być może tylko tu od dziesięcioleci znajduje swój azyl i ukojenie, a może i życie wieczne. W domu czeka na nią bowiem córka ze schizofrenią, która od dawna nie odsłania okien, a w jej pokoju panuje wieczna ciemność. W drugim pomieszczeniu mieszka za to jej ślubny, czyli pan Z. Od wielu lat żyją jednak tuż obok siebie, a nie razem. Dzieli ich nie tylko ściana, ale i tysiące niewypowiedzianych pretensji. Ona w swoim pokoiku regularnie się modli - to o córkę, to o męża. Być może więc kiedyś się nawrócą.

Nie można nie wspomnieć także o rodzinie z pierwszej klatki. Tak jak my mieszkają na parterze, lecz mają większe mieszkanie. Zdaje się, że rodzina L. od zawsze żyła życiem innych. Wydaje się nawet, iż uczynili z tego swego rodzaju rozrywkę. Pamiętam, że nestor tego rodu niby ukradkiem wychodził z psem na spacer, a tak naprawdę robił rundkę wokół naszego bloku, by stale dowiedzieć się czegoś więcej. A nuż może być świadkiem jakiegoś ciekawego wydarzenia. Nigdy mu nie ufałam, chroniąc od zawsze swoją prywatność.

Dziś wracam tam dość rzadko. Wielu sąsiadów zmieniło miejsce zamieszkania, a część z nich została. Każde z nich ma jednak swoją osobistą historię, a ich losy wiele mówią też o nas. Dziś sąsiad z naprzeciwka ma się na baczności, walcząc każdy dzień o trzeźwość. Pan P., który mieszkał nad nami, już nie zbiera na trunki, bo parę lat temu zmarł, a jego syn jest kilka lat po udarze. Zośce powoli zaczyna brakować już sił, więc ciężkie zakupy na drugie piętro nosi jej moja mama. I na końcu on - sąsiad z pierwszej klatki. Mimo wszystko życzę mu jak najlepiej.



WIEŚ

Justyna Załucka

„Wsi spokojna, wsi wesoła”

Dla mnie wieś to niewymuszony spokój i olbrzymia feeria zapachów. Wracam tu po to, by co jakiś czas wyrwać się z tego sztucznego „wyścigu szczurów”. Bywam tu, by dać się sownie ugościć. By poczuć ból brzucha ze słodkiego przejedzenia. Czekam więc na świeże warzywa z wiejskiej roli starannie ugotowane przez ciocię. A domowy obiad, który skrzętnie przygotowuje, nigdy mnie nie zawodzi. Za każdym razem posiłki pachną troską i sercem wprost bijącym do mnie z talerza. Na mojej rodzinnej wsi tak właśnie okazuje się sobie miłość.

Babcia, choć jest po udarze, wciąż mnie poznaje, a ja lubię trzymać ją za rękę. Czuję wtedy wiotkość jej skóry. Przypomina mi pergamin i tak samo jak on jej ciało skrywa wiele zapisanych historii. Cieleśnie jesteśmy bowiem żywymi dowodami wydarzeń, jakie przeżyliśmy. Skóra jest zapisem pierwszych upadków i ran, ale też „świadkiem” nastoletnich pocałunków i „malinek” na szyi.

Babci trudno było nas jednak przytulać. Wszystko zmieniło się pewnego dnia, gdy mój starszy brat niespodziewanie objął ją na przywitanie. Mama mojej mamy stanęła wtedy jak wryta, a dziś w ten sposób witamy się za każdym razem. Kontynuujemy więc naszą nową, wspólną tradycję okazywania sobie miłości.

Kiedyś weszłam na babciny strych. Wdrapałam się po drabinie i odkryłam tajemne drzwi prowadzące do przeszłości. Stare pocztówki, książki - czego tu nie było. Kilka z nich mam do dziś w swojej piwnicy, bo łudzę się, że w ten sposób zatrzymam na zawsze miniony czas.

I w końcu babcine, wiejskie koty. Nigdzie nie widziałam tak urodziwych kociąt jak tam.

Nie ma chyba bardziej niezależnych mruczków od tych na wsi. Łapią myszy ot tak dla zabawy, wylegają się w tak zwanej sieni i śpią w starej, nieużywanej pralce babci. Tam mają swoje posłanie z babcinych ubrań, bo „Frانيا”, choć dawno pusta, stała się ich sypialnią.

Nigdy nie zapomnę dotyku nagrzanego kociego futra. Głaszcząc koty, jako dziecko, czułam przez chwilę przyjmowane przez nie ciepło. Nie byle jakie, bo te od Słońca.



NATURA

K.K.

Natura to dzikie drożdże w słoiku. Przemieniają w magiczny sposób mąkę z wodą w żywy zaczyn, który jest bazą dla mojego chleba. Im więcej życia w powietrzu, tym więcej dobrych bakterii w słoiku, tym pulchniejszy bochenek na nich wyrośnie. Kiedy okna otwieram na oścież, by wpuścić ciepłe powietrze z ogrodu, kiedy budzą się trzmiele, muchy i mrówki, a pąki krzewów zmieniają w listki, pąki kwiatów otwierają na słońce, zakwas chlebowy również ożywa i nabiera mocy. Magia.

Natura to łąka na skraju mojego lasu, oddająca ciepło pod wieczór, bo cały dzień grzała się w słońcu. Przejście do innej rzeczywistości, pomiędzy ulicą miasta a lasem. Czasem zapodzieje się tu sarna, czasem buszują dziki. W nos uderza zapachem trawy, a po uszach szaleńczym śpiewem ptaków. Im cieplej, im później, tym głośniejszy, bardziej różnorodny, jeszcze bardziej melodyjny. To płatanina dzikich dźwięków, a jednak nie męczy, uspokaja. Wystarczy kilka chwil, w ruchu lub bezruchu, by wchłonąć, by wyciszyć umysł, oddech, ciało. Magia.

Natura to mój las, w którym znam wszystkie zakamarki, ale wciąż odkrywam nowe ścieżki. W którym każde miejsce ma wiele twarzy, bo jest całkiem inne wczesnym latem, jesienią, w śniegu, w błocie, w szarości, w zieleni... jest inne o każdej porze dnia, w innym słońcu, w innej temperaturze. Czasem nawet idąc z innego kierunku, widzę je jako zupełnie nowe, ze zmienionej perspektywy. Ta sama ścieżka z powalonym na niej konarem jest już inna. Ta sama góra zmienia kształt od nadmiaru rowerzystów. W lesie myślę, znajduję rozwiązania, zrzucam stres, doceniam swoje życie, prowadzę monologi, oddycham, obserwuję...

Natura to gwałtowna ulewa, która zalewa błyskawicznie wszystko na swojej drodze, robi powódź w ogrodzie, a z mojej ulicy czyni rwącą rzekę. Sprawia, że odczuwam jednocześnie lęk, pokorę wobec żywiołu i wdzięczność, bo jestem przecież sucha i bezpieczna.

To tęcza, która za każdym razem cieszy jakbym widziała ją po raz pierwszy w życiu, nieustannie zachwyca i wzrusza swoim prostym pięknem. I jestem wtedy jak dziecko, wpatrzona i radosna w ten cud, cokolwiek działo się wcześniej lub będzie później. Jest czysta magia.

Natura to jeź biegnący co wieczór tą samą drogą o tej samej porze. Szelest w bluszczu, w liściach zmieszanych z trawnikiem, szybkie małe nóżki podążające w jakimś konkretnym celu, krągłe szare ciało. Kot tylko obserwuje. Pewnie nauczył się poprzez doświadczenie, że tak jest lepiej. My, siedzący na tarasie nie stanowimy zagrożenia, jeź może załatwiać bezpiecznie swoje sprawy. My już wiemy, dobrze się znamy.

Natura to burczenie w moim brzuchu, kiedy chciałabym być neutralna, ale trawię albo czuję głód. To zmarszczki i bruzdy na mojej twarzy, bo czas płynie, a mam mięśnie mimiczne i skórę. To gorączka i ból głowy, bo czasem ciało musi stanąć do obrony przed wirusem. To długi sen po intensywnej aktywności, pełen wyraźnych marzeń sennych, które giną zaraz po przebudzeniu.

Natura to zew, który kiedyś, dawno temu skłonił mnie do związania się z obcym, ale tym dokładnie człowiekiem. Być może głównie po to, by z połączenia naszych mocno niedoskonałych bytów, stworzyć dwie tak doskonałe istoty, niosące światu niezmiennie piękno i miłość.

Anna Jakubiec

Na brzegu Zielonej Łąki rosły rzadkie zarośla jeżyn. Kiedyś wiatr przyniósł jedno ziarenko i tak wyrosła cała kępa kolczastych witek. Ludzie nazywali te zarośla Jeżynowym Zagajnikiem. Nikomu nie przeszkadzały te zarośla, więc rosły sobie swobodnie, dając co roku coraz więcej czarnych, soczystych kulek. W tym zagajniku mieszkała rodzinka jeży. Mama jeżowa Kunegunda i jej gromadka jeżyków: dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Jeden z chłopców dostał na imię Jerzyk. Nikt nie wiedział dlaczego, ale chodziły pogłoski, że może dlatego, że kolce miał najdłuższe z całego rodzeństwa. Kiedy stroszył swoje kolce, to inne zwierzęta mówiły, że się jeżył.

Ludzie i zwierzęta mieszkający na brzegu Zielonej Łąki pomagali sobie wzajemnie. Nikt nikomu nie robił krzywdy, bo wszyscy wiedzieli, że jeże są pożyteczne dla ludzi, a ludzie opiekują się takimi zwierzętami, a nawet się z nimi przyjaźnią.

Jerzyk był bardzo ciekawskim jeżem. Wszędzie było go pełno. Malutkie nóżki często zanosily go aż na koniec Zielonej Łąki, żeby podziwiać wszystko to, co latało wysoko na błękitnym niebie. Wtedy wracał do swojego legowiska bardzo zmęczony.

Pewnego dnia obok Jeżynowego Zagajnika, wzdłuż Zielonej Łąki, przejeżdżała mała Zuzia na swoim różowym rowerku. Śpieszyła się do taty, który pracował na końcu łąki, w jednym szarym, dziwnie wyglądającym domu. Ludzie mówili na to hangar. Z tego domu co jakiś czas wytaczały się wielkie ptaki, które ludzie wypychali siłą swoich mięśni. Jedne z nich były ciche i tylko szurały po trawie, a inne po chwili zaczynały warczeć, oganiając się z przodu długimi łopatami.

- Chyba od tych upartych much, które potrafią uprzykrzyć życie - myślał wtedy mały jeżyk.

Chociaż był jeszcze malutki, to wiedział, że ani jednym ani drugim nie należy wchodzić w drogę, bo są dużo większe i cięższe od niego i mogą mu zrobić krzywdę.

Zuzia tego dnia wybrała się na spacer po betonowej ścieżce prowadzącej do jednego z tych szarych domów. Chciała odwiedzić tatę, który właśnie szykował jednego z tych ptaków do lotu. Nazywał go Bocianem. Nagle na drodze zobaczyła małego jeża i zahamowała gwałtownie, przewracając się w trawę Zielonej Łąki.

- Ojej - zawołał mały jeż. Nic ci się nie stało?

Dziewczynka popatrzyła trochę wystraszona, ale rozumiała mowę jeży, bo wszystkie dzieci, mieszkające w pobliżu Zielonej Łąki, potrafiły rozmawiać ze zwierzętami i szybko odpowiadała.

- Nie, nic, tylko pobrudziłam sukienkę trawą i mama będzie się gniewać.

W tym zielonym kolorze to nawet ci ładnie - odparł poważnie mały jeż - a to nie twoja skóra, bo widzisz ja mam kolce i moja nigdy się nie brudzi.

Zuzia roześmiała się. - Ale z ciebie żartowniś. To moje ubranie, które przykrywa moją skórę, bo inaczej byłoby mi zimno.

- A co to jest zimno? - zapytał Jerzyk.

- Zimno jest wtedy... - Zuzia zastanowiła się nad odpowiedzią. Wtedy... jak lecą takie białe płatki, a ty wystawiasz nos z tej swojej budki, przykrytej kupą liści, w której mieszkasz. Wtedy poczujesz coś mokrego i zimnego.

- Ale my wtedy śpimy i nie wystawimy nosków - odparł poważnie mały jeż. A gdzie ty tak pędzisz? - zapytał jeszcze.

- Jadę odwiedzić mojego tatę, bo za chwilę będzie latał takim wielkim ptakiem, którego nazywa Bocianem i obiecał, że mnie zabierze do tych chmur, które jak białe pianki płyną po niebie. Już kiedyś z nim leciałam i widziałam, jak małe Czajki z naszej Zielonej Łąki uciekały przed tym dużym ptakiem. Ale tata bardzo uważał, żeby nie zrobić im krzywdy.

- I nie bałaś się? - zaciekawił się mały jeżyk.

- Z tatą niczego się nie boję - odparła poważnie Zuzia.

- Też bym tak chciał zobaczyć te chmurki, bo wiesz, kiedyś spotkałem bociana Lucka i on opowiadał, że tam w górze jest tak pięknie - mały jeżyk zadumał się na chwilę.

- Zapytam tatę i jak pozwoli, to zabiorę cię następnym razem na taką wycieczkę - odparła Zuzia. A teraz do zobaczenia, bo nie zdążę się spotkać z tatą. Dziewczynka wsiadała na swój rowerek i odjechała, zanim Jerzyk zdążył jej odpowiedzieć.

Trochę zmartwiony wrócił do swojego mieszkanka w Jeżynowym Zagajniku.

- Mamo dlaczego ja nie mogę tak szybko biegać jak ludzie? - zapytał po powrocie. Mamo, a ja mogę polecieć z nią na tym wielkim ptaku? Mamo, a ona obiecała, że mnie zabierze pod te chmurki.

- Jerzyku powoli, nie wszystko na raz - mama Kunegunda strofował swojego synka. Masz krótkie nóżki, a one nie biegają tak szybko. I że nie latają w powietrze. Tak postanowiła Matka Natura. Jesteśmy pożyteczni tu na ziemi. Zjadamy szkodniki i dzięki temu jesteśmy sanitariuszami naszej Zielonej Łąki. Nasza łąka dzięki temu jest zdrowa i to cieszy Matkę Naturę. Nie potrzebujemy latać, żeby widzieć, jak chmury przesuwają się po niebie. Wystarczy, że położymy się na plecach i możemy je do woli obserwować.

- Ale ja chciałbym polecieć z ludźmi! - stanowczo sprzeciwił się takiemu rozumowaniu mały jeż i schował się w kupie liści w Jeżynowym Zagajniku, żeby przemyśleć, jak ma to zrobić. I tak kiedyś polecę! - postanowił uparcie.

- Oj, synku - westchnęła mama Kunegunda - Matka Natura nie przewidziała, że urodzi się taki mały jeż, który będzie chciał latać.

Agnieszka Sprawka

Choć przegląda się w najpiękniejszym, krystalicznym strumieniu, bystrej, rwącej i biegnącej szybko rzece czy przenikliwym, pełnym głębi jeziorze - zawsze najważniejsze będzie dla niej tylko jej własne odbicie.

W odbiciu zatapiać się będzie tak długo, aż ujrzy własną pustkę. Ta ciemność ją przerazi, prawie pochłonie, napluje więc ze złości, zanieczyści wodę, pożyczycy jej mętności i wyruszy dalej w poszukiwaniu kolejnego lustra. Najbardziej czystego ujścia, aby wyczerpać z niego znów do granic, rozpuścić błotem i odejść.

Odbicie i własny obraz jest idealny tylko przez chwilę. Nikczemność i zatracenie w sobie jest jak trucizna, zanieczyszcza wszystko dookoła, gorszy. Ta, którą widzi się przez chwilę, znika w poruszeniu wody, złość zawraca nurty i burzy naturalny bieg. Choćby chciała patrzeć bez końca, koniec zawsze ją dopada, tuż przed momentem, gdy ostatkiem obłądu i samouwielbienia, chcąc ratować ruiny własnego obrazu, wpada i topi się na zawsze.

Tak bardzo chciałaby, abym pisała o niej, nie przyjmując nawet jako możliwości, że to nie ona będzie głównym tematem okupującym moją głowę i serce. A jednak.

Zabieram siebie do miejsc, których nie odwiedzałam latami. Wchodzę do przestrzeni, które rozpoznaję i które witają mnie. Nie zmieniły się bardzo, może wcale, jest w tym coś nadnaturalnego. Odnajduję tam siebie sprzed 9 lat, tam ją zostawiłam. Pod tym filarem w miejscu ukrytym, gdzie w lutym było najgoręcej, a przypadkowy blask spojrzeń obiecywał wszystko i nic zarazem.

I dzień później przydarza mi się coś, o czym nie mogę zapomnieć. Pod powiekami czuję wciąż jej obraz, jak omiata przestrzeń, jest w tych wszystkich miejscach. Przez chwilę myślałam, że może zostanie na zawsze, bałam się tego, nie umiem zabijać nawet z litości.

Bałam się przez całą wieczność, która była w istocie mniej niż godziną. Aż przestałam w to wierzyć i przestałam się bać, i niemożliwe jednak się udało. Mam moc, żeby ocalić coś najpiękniejszego.

Jak długo po tym zdarzeniu wciąż spodziewam się jej gdzieś blisko, czułam ją w tym miejscu.

Tak jak w uszach wciąż dzwoni mi wiatr. Mimo że dawno nie wieje.

Zostawiłam uchylony balkon. Wleciał mi do mieszkania ptak, sikorka. Walczy, z impetem naciera na okno, szelest jej skrzydeł tnie powietrze. Ja panikuję, snuję najgorsze scenariusze. Kot jest podekscytowany. Ona boi się mnie, nawet kiedy już spokojniejsza staram się otworzyć okno, które jest w zasięgu jej skrzydeł. Znowu nie ten ruch, ona odlatuje na poddasze. Sytuacja staje się trudniejsza. Robię przerwy, ona też. Słyszę, kiedy odpoczywa, myśli i próbuje nowej strategii. Ale beze mnie się nie uda. Chcę zadzwonić do przyjaciółki, która wiele lat ratowała ptaki. Chcę, żeby ktoś mi pomógł, czuję, że nie dam rady, jeśli ona przeze mnie umrze w tym domu. Robię przerwy. Jestem tu ja, musi się udać, tyle nowych rzeczy, tak trudnych dla mnie udało mi się w ostatnim czasie, tutaj też musi. Tak jak próbuje ona, muszę próbować i ja.

Więc wchodzę powoli na górę i widzę ją na suszarce na pranie. Znowu jest koło okna, znowu będzie się o nie obijać jak tylko podejść bliżej. Schodzę na dół, biorę niebieski koc, odkładam miskę. Wchodzę. Idę w kierunku okna. Ona z szelestem przelatuje gdzieś za mną, nie wiem gdzie. Nie myślę o tym, czy ją znajdę, otwieram okno, zakrywam część kocem, żeby wyraźniej zaznaczyć jej drogę.

I schodzę na dół, będę słuchać, czy się udało. Dam jej czas, otwarte okno do wolności.

I widzę ją na dole. Siedzi na rudym fotelu, gdzie tydzień temu siedziała moja przyjaciółka ratująca ptaki. Sikorka siedzi na środku, ma rozłożone skrzydła przyłożone do oparcia - czy chce być przez to większa, czy niewidoczna? Wiem i czuję w ciele, co muszę zrobić. Pierwszy raz czuję tę pewność i ona chyba też wie. Podchodzę tak, że impuls ze mnie podnosi ją do lotu, jednym, długim, falowanym ruchem wznosi ją, ona leci wysoko w górę, prosto do niebieskiego nieba i chmur, i jest w tym czysta wolność.

Może radość, jaka przygoda ją spotkała, z dumą i radością opowie ją innym ptakom.

A ja nie mogę przestać płakać, bo czuję, jakbym uwolniła siebie.

Dziwnie widzieć kogoś i nie czuć już nienawiści, i tej złości sprzed kilku dni, miesięcy. Jest to po prostu dziwne, ten spokój. Mój bałagan, z którego nie muszę się już nikomu tłumaczyć, nie muszę czuć za niego wstydu. To nie jest dobry pomysł, aby widzieć się z nimi teraz. A może to wszystko znów to moja halucynacja, mogę po prostu wyjść. Albo nie wychodzić, po prostu być tu ze sobą i nie przejmować się. Spokój.

Ile razy wysłuchałam dziś tego podcastu o Skorpionie, o znakach zodiaku w ogóle, ile razy w kółko. Wiedziałam, że nadejdą, że jest to jakaś gra. Ale na nic nie muszę się zgadzać.

Nie przstrasza mnie to, jestem w bardzo dobrej sytuacji. Jestem w stanie sobie poradzić, z kotem znajdę nowe miejsce, będę tam sama, bez przeszłości, z dużą ilością ptasiej muzyki i oddechów. A teraz zachowuję spokój.

Nie dać się presji i pozorom. Mieć okres. Od trzech dni mam okres.

Nie przejmować się, być jak satelita.

To ja jestem gwiazdą, jestem tym blaskiem, który patrzy na mnie z góry, kiedy stoję twarzą w twarz z ciemnością nocy, a one pochylają się nade mną. Zaćmienie słońca będzie już za godzinę.

Zobaczę je, a ono zobaczy mnie,

Zaćmienie.

Nie widzieć, nie wiedzieć, nie patrzeć. Słyszeć z oddali to, jak rozmawiają ze sobą ptaki. Ze mną też. Ten, który przyleciał do mnie nad ranem nic mi nie powiedział, nic więcej nie zaśpiewał.

To ja byłam zagrożeniem, nie znał mnie. Byłam jego strachem. Czułam jego serce. Najmocniej czułam go wtedy, kiedy siedział schowany, nieruchomo, za tosterem. Wtedy najbardziej. Nawet nie wtedy, kiedy łudziła go przejrzystość szkła. I gwałtownie odbijał się od okna.

Najbardziej niebieskie czy zielone skrzydła.

Najbardziej dziwne oczy, których już nie pamiętam. Ich kolor wypłowił i stały się przejrzyste.

Jeść wiele i nie wiedzieć nic, zarazem. Przesuwające się chmury. Spakowane torby. Czas.

Rozlać to w szarości i błękicie. W oczekiwaniu. To ja jestem za tym tosterem, to ja kończę swoją opowieść. Nie muszę nic udawać. Szelest toreb.

Szlachetnie nie będę się wdawać w żadne pierdolone dyskusje.

MIASTO⁺

Agnieszka Sprawka

Powierzchniowo, przestrzenie rozmazane deszczem, przecinane pędem i stukotem kółeczek walizki po bruku. Jestem dla tych ulic nowa, dopiero się poznajemy, choć to nasz kolejny raz. Przyjeżdżam znowu inna, pachnąca morzem, głodna przygody, z półpełną butelką wody, której nie wypiję. Miasto jest marzeniem. Odnajdę się w nim, przez trzy dni będę śnić. O tym, jak zostałam jehusem, ocalałam średni koncert i dobre serca. Jak znowu swoje trochę zламаłam, pięknie i smutkiem. Nigdy nie będę tego żałować.

I o sekretach, które zachowam dla siebie. Patrzą na mnie wszyscy przyjaciele obiektu rozszerzonymi źrenicami. Spędzam czas na zamku. Kiedy jestem zupełnie sama, nie poddaję się presji tłumu, znajduję uchylone drzwi z drogowskazem, który nie mówi wiele, ale nazywa marmury, schody i ławkę, na której usiądę. Schowam się, nie będzie mnie. Będę słuchać w kółko piosenki pełnej retorycznych pytań i zadzierać głowę do sufitu.

Udaję kogoś innego, żeby wejść do tętniącego życiem miejsca schowanego między budynkami, w podwórku. Mój kamuflaż to ktoś pewnie i mocno trzymający mnie za rękę, jakbyśmy należeli do siebie co najmniej na zasadach spisanej u notariuszki umowy przedwstępnej. Ledwo się znamy. Kolejna mistyfikacja to pęd - spieszyć się, niemal biec schodami w górę, żeby nikt nie zdążył przyjrzeć się temu życzliwemu kłamstwu, które uskuteczniamy. Nie dziś, nie tej nocy - nie sprzedamy go światu. Ale szczęście będzie nam sprzyjać i wejść na pełnych prawach do środka. Zachowam przytomność umysłu, nawet kiedy mój współtowarzysz zasłabnie, odurzony alkoholem i kołysany niewidzialnym, wewnętrznym wiatrem pełnym procentów. Zabiorę go na zewnątrz, kołysać nie przestanie, wpadniemy na beczkę na schodach i z hukiem spadną z niej wszystkie puste butelki. Ktoś na dole, w którego kierunku polecą szkła, powie rozanielony "uwielbiam ten dźwięk". Czy trzeba być muzykiem, żeby w niebezpieczeństwie i destrukcji znajdować rozkosz brzęku tłuczonego szkła?

I jeszcze jedna oda do dźwięku, w taksówce, na tylnym siedzeniu. Umieścić się na mapie, obrać kierunek. Zapytana o swój adres tej nocy, odpowiadam, zgodnie z prawdą, Wodna 13. "Czy możesz powtórzyć?" "Wodna trzynaście"

"Jeszcze raz?"

Wolniej. "Wodna trzynaście." Wymawiam to jak zakłęcie, po trzykroć. Sama zakochuję się w tych dźwiękach, zaczynam rozumieć, skąd pytanie i prośba.

Ale to zajebiście brzmi.

Podobnie jak zdania w powietrzu, jestem teraz dźwiękiem na wietrze. Tak dużo myślę. To, że coś możesz, wcale nie oznacza, że powinnaś.

Powrót przez miasto spacerem. Spokojne i piękne, im bliżej środka, tym więcej różowych świateł, ludzi, tempa. Na Rynku pod miejscem z frytkami walka współczesnych gladiatorów, jeden na drugiego idzie z krzesłem. Noc, gdzie piękno miesza się z agresją.

Jest zimno. Jutro będzie gorąco. Jutro zapomnę siebie, stojąc najbliżej, tańcząc w środku, w sobie, starając się być chwilą i jednocześnie zachować ten moment na zawsze. W głośnej sali, do której dostanę się cudem, dzięki szybkości reakcji i przyjacielskiej desperacji, mówić będę tylko do Ciebie, tak jakby wszystkie słowa, które do siebie pisałyśmy cały ten czas, będąc daleko, znalazły w końcu brzmienie i drogę, moja twarz niebezpiecznie blisko Twojej, pochylając się prosto do ucha, żeby nic Ci nie umknęło, zamykając powieki za każdym razem, kiedy patrzysz mi w oczy o jeden milimoment za długo.



WODA

Anna Szafarz

gwiazdy i księżyc odbijają się w tafli wody
stoję na brzegu morza wpatrzona w dal i zastanawiam się, gdzie jest niebo a gdzie ziemia,
gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie
woda jest niebem, a niebo wodą
splątane ze sobą tworzą jedność bez granic
fale leniwie obmywają moje stopy, zabierając ze sobą ziarenka piasku
czuję jak się zapadam,
podnoszę nogę i nieśmiało, by nie spłoszyć księżyca lub gwiazd, wsuwam stopę w granatową
taflę wody,
potem śmielej robię następny krok, a potem kolejny i jeszcze jeden
idę tak, by nie popsuć cudownie magicznego wzoru, idę w dal
czuję jak woda dotyka mojej skóry,
dotyk,
dotykam wody, a ona mnie, sprawdzamy, czy się znamy
zastanawiam się nad istnieniem wody, jak określić coś, co jest tak nieuchwytnie, rozproszone
i w tak wielu miejscach obecne,
płynę zamyślona wyznaczonym sobie szlakiem srebrnego księżyca,
dokąd?
czy musi być cel?
a może po prostu płynę swoją drogą?
zamykam oczy, nie czuję bólu wysiłku
nie czuję rozdzielenia między nami
przenikamy się wzajemnie, stając się jednym
ja wodą a woda mną
cisza, czy to raj?
jeśli tak, to chcę płynąć wśród gwiazd srebrzystą poświatą księżyca
moją drogą życia

Anna Jakubiec

Woda to chmury, z których pada deszcz. Życiodajny strumień daje pić roślinom i zwierzętom. A dla mnie obmywa powietrze z pyłków drzew, na które jestem uczulona. Woda to rzeka, jezioro, morze. To kolory, kiedy zachodzi słońce, gdy te plamy żółci i czerwieni tańczą, migocząc na powierzchni morza czy jeziora. Albo, gdy srebrzysto migoczące refleksy płasają w pełnym słońcu na rzece. Albo, gdy księżyc znaczy swój srebrzysty ślad na wodzie.

To też żywioł, którego się bałam i nadal mam do niego wielki szacunek.

W młodości nigdy nie nauczyłam się pływać, chociaż takie próby podejmowałam. Zachowanie spokoju, gdy woda zalewa oczy czy uszy, a płucami nie można złapać normalnego oddechu, to było ponad moje siły. I nagle zdarzyło się coś, co pchnęło mnie w ten świat ciszy, cisnień i widoków, które przerażają, ale jednocześnie dają poczucie, że człowiek może więcej niż by mu się zdawało.

Pewnego razu spotkałam się w pubie z kolegą, z którym pracowałam w jednej firmie, a którego uważałam za bardzo zdolnego informatyka. Liczyłam, że możemy ciekawie porozmawiać, bo w tej pracy moje zainteresowania informatyką zaczęły się nagle objawiać. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, w tym o swoich pasjach, które wciągają nas w inne światy. I wtedy opowiedział mi, że zauroczył się nurkowaniem w ciepłych wodach południa Europy. Mówił, że jeździ tam co roku albo ze znajomymi, albo z rodziną, ucząc jednych i drugich, bo zrobił kurs instruktorski. A opowiadał to tak obrazowo, że widziałam to, co dzieje się pod wodą. I jeszcze powiedział, że mógłby mnie zabrać kiedyś pod wodę. Byłam przeświadczona, że to nie dla mnie. No gdzież ja zejdę pod wodę. Moje chore uszy, które doświadczyły w dzieciństwie tylu zapaleń, wytrzymają te ciśnienia? Jak opanuję strach, nie mogąc oddychać pełną piersią, korzystać z jakiejś rurki, dzięki której będę miała dostęp do tego życiodajnego powietrza?

Wracając z pracy, zauważyłam przy nowo wybudowanym basenie tablicę z informacją, że można spotkać się z ekipą nurków i zobaczyć, na czym polega nurkowanie. Ta informacja mnie zaintrygowała i pomyślałam, że może warto spróbować. To tylko jakiś metr siedemdziesiąt głębokości, ciśnienie żadne, a najwyżej moje uszy dadzą o sobie znać i wtedy będę wiedziała, że nie ma o czym marzyć. Zadzwoiłam nazajutrz na podany numer, umówiłam się na spotkanie i tak poznałam nurków z jednej ze szkół, w moim mieście.

Kiedy ubrano mnie w płetwy i kazano mi podpłynąć metr do kamizelki z butlą na środek toru na basenie, byłam pełna obaw. A potem jak jeden z instruktorów pomógł mi cały sprzęt założyć na leżąc i polecił mi, żebym spróbował się spionizować, kolejny raz pomyślałam, że się nie uda. Cierpliwie pokazywał mi, jak mam to zrobić i wreszcie się udało. Woda absolutnie nie była wtedy dla mnie przyjazna.

Potem zeszliśmy na dno basenu. Oddychanie przez automat oddechowy okazało się łatwiejsze niż myślałam. Pływanie do końca basenu i z powrotem też nie było jakoś strasznie trudne. Woda otulała mnie i utrzymywała nad dnem bez problemu. Uszy się nie buntowały, a oczy osłonięte maską, widziały wszystko to, co widzieć powinnam. Wtedy zrozumiałam, że jednak mogę się z nią zaprzyjaźnić.

Po zakończonym nurkowaniu zapisałam się na kurs teoretyczny, a potem na praktykę nad jednym z jezior. No i wtedy się zaczęło. Na kursie praktycznym, po kilku ćwiczeniach w płytszej wodzie, schodzi się około pięć metrów na drewnianą platformę i ćwiczy się pływanie wokół niej: zawisy nad i pod nią, wyjmowanie z ust automatu, opróżnianie go z wody, dzielenie się powietrzem, nie oddychając przez chwilę, a właściwie wypuszczając powietrze. Bo

generalnie pod wodą trzeba oddychać, raz wdychając, a raz wypuszczając powietrze. Z początku było fajnie, chociaż zawisy na ustalonej głębokości były moją zmurą. Potem się okazało, że przy mojej posturze trzeba inaczej montować butlę tak, by obciążała dół moich pleców, a nie górę. Dochodziliśmy do tej wiedzy bardzo powoli. Ale przy którymś ćwiczeniu zdarzył się wypadek. Do dziś nie możemy znaleźć wyjaśnienia tej sytuacji, bo wszystko, co się wtedy wydarzyło, wymyka się prawom fizyki.

Po wyjęciu automatu z ust, trzeba go opróżnić z wody i z powrotem włożyć do buzi. Przez chwilę wypuszcza się powietrze, więc zaraz po włożeniu trzeba odetchnąć powietrzem z butli. Opróżnianie z wody, przed włożeniem do ust, polega na przyciśnięciu membrany albo dmuchnięciu powietrzem z płuc. Robiłam to już kilka razy i za każdym się udawało. Tym razem, opróżniając automat, zrobiłam to obydwojma sposobami i nic. Czułam tylko wodę, ale tą się nie da oddychać. Pokazałam instruktorowi, że nie mam powietrza. Więc on mi dał swój automat już opróżniony. Nadal nic. Miałam już resztki powietrza w płucach, a i panika zaczęła działać. Pokazałam mu, że idę do góry, czyli płynę na powierzchnię. Pomachał rękami, żebym się uspokoiła. Łatwo powiedzieć, jak nie ma czym oddychać. To chyba najstraszniejszy moment, jak czujesz, że za chwilę się udusisz, a jak próbujesz odetchnąć, to zalewa cię woda i się topisz. Te sekundy, kiedy w głowie masz NIE WOLNO ODDYCHAĆ, bo nie masz powietrza, jest czymś, co nie da się opisać. Nie wiem, jak wypłynęłam na powierzchnię jeziora. Pewnie na moment mnie zamroczyło. Kiedy zobaczyłam słońce i odetchnęłam powietrzem, byłam najszczeńliwszym człowiekiem.

Za chwilę podpłynął do mnie nasz szef wyszkolenia, który w pełnym sprzecznie wybierał się z uczniem na głębsze nurkowania. Zaczął mnie pytać, czy nic mi nie jest, a mnie się nie chciało gadać, bo było mi tak dobrze. Dopiero jak powiedział, że zrobi mi sztuczne oddychanie, czyli „usta - usta”, zaczęłam się śmiać. To uruchomiło wodę, którą miałam w środku. Wypływałam ją i wypluwałam, bo pewnie sporo się jej napiłam. Szef mnie opieprzył, że się nie odzywam i go przestraszyłam. Pomógł mi wyjść z wody i dał mi małą butlę z tlenem, żeby usunąć azot, który w takich sytuacjach może gromadzić się we krwi, grożąc urazami ciśnieniowymi. Tak zakończyłam swój dzień ćwiczeniowy, stresując dosyć mocno mojego instruktora. Ale kiedy na pytanie, czy jutro przyjadę znowu nurkować, odpowiedziałam, że jak nie wejdę ponownie do wody, to już zawsze będę się jej bardzo bać. Wiedziałam, że muszę się nauczyć tego opanowania. Po raczeniu się tlenem, dostałam takiego wigoru, że wymasowałam koledze nogę, bo go łąpał skurcz.

W ten sposób zostałam nurkiem, chociaż moje umiejętności dalekie są od doskonałych. Ale wpadałam potem nad jezioro, ścigając się z małymi rybkami, plewiąc drogi wzdłuż linek zwanych poręczówkami, penetrowałam skalne podłoża wód w Chorwacji, widziałam olbrzymiego żółwia i konika morskiego w Egipcie. Zawsze ktoś się mną opiekował i to było okej, bo w końcu dostałam licencję, ale do mniejszych głębokości. Wszystko to piękne, ale nadal mam świadomość, że z wodą nie ma żartów. Mój znak zodiaku Waga jest znakiem powietrza, a to chyba wskazanie, że nigdy nie będę rybą. Co jakiś czas marzy mi się ciepła woda, w której można machnąć płetwami i pooddychać powietrzem z butli. Tylko te ciepłe wody to daleko. Na razie pozostaje mi jezioro i baseny.

Woda zawsze kojarzy mi się będzie z tym światem podwodnym, którego niewielką cząstkę przyszło mi zobaczyć. W młodości czytałam książkę „Wraki”, gdzie grupa nurków eksploruje zatopione jednostki. Może już wtedy zapragnęłam zobaczyć inny świat. I chociaż ich głębokości nigdy nie będą dla mnie dostępne, to przynajmniej rozumiem, na czym to wszystko polega. I tę wiedzę mogę wykorzystywać w moich książkach. Może kogoś zainspiruję opowieściami do tego stopnia, że zapragnie zobaczyć je własnymi oczami, mając świadomość, że z wodą nie ma żartów.